
STANISŁAW FUDALI

PATRIOTYZM, CZY GESTY *QUASI*-PATRIOTYCZNE?

Czytam w słowniku (*Mały słownik języka polskiego*, pod red. Stanisława Skorupki, Haliny Auderskiej, Zofii Łempickiej, wyd. PWN, Warszawa 1969, ISBN 83-01-08786-2): „Patriotyzm – umiłowanie ojczyzny, przywiązanie do swojego narodu.” Ta lakoniczna definicja jest dla mnie niezrozumiała. Co znaczy „miłować” ojczyznę? Miłować jej rzeki i jeziora, góry i doliny, miasta, miasteczka i wsie. A może jej kulturę, dzieje, tradycje, przyrodę? Może jej ludność, polityków, twórców, artystów? A co znaczy „przywiązanie do swojego narodu”? Mieć takie same przekonania jak naród, bądź spora jego część? Czy postępować jak inni?

Słownik współczesnego języka polskiego pod red. nauk. prof. Bogusława Dunaja (wyd. Reader Digest Warszawa 2001, ISBN 83-88243-28-4) to samo hasło objaśnia mniej lapidarnie:

Patriotyzm – postawa wobec ojczyzny, narodu, przejawiająca się rzetelną pracą, przedkładaniem nadrzędnych wartości takich jak wolność, niepodległość i suwerenność kraju nad własne cele oraz gotowością do poświęceń dla swojego narodu i kraju,

ale wcale nie bardziej zrozumiale.

Definicja ta naszpikowana jest górnolotnymi wyrazami, jak: wolność, niepodległość, suwerenność, z których każde wymaga gruntownego zrozumiałego objaśnienia; w miarę zrozumiała jest *rzetelna* praca. Niedawno w jakiejś audycji publicystycznej w TV („Fakty po faktach” bądź „Kropka nad i”) na temat patriotyzmu usłyszałem wypowiedź jakiegoś zaproszonego gościa: „Jestem patriotą – bo płacę podatki, opłacam abonament RTV, przestrzegam przepisów drogowych...” Mina tego gościa nie wskazywała na to, że żartował lub ironizował, a przecież każdy, kto robi legalne interesy w Polsce i porusza się po polskich drogach musi płacić podatki i przestrzegać przepisów drogowych, niezależnie od tego czy jest Litwinem, Malajczykiem czy Włochem, i przez myśl takiemu nie przebiegnie, że może być patriotą polskim.

W przedwojennej szkole powszechnej (czyli podstawowej wg współczesnego nazewnictwa) uczono mnie patriotyzmu: recytowania wierszy o uwielbianym Marszałku i odważnym Panu Prezydencie w dniach ich imienin, a później piosenki o dzielnym Wodzu, z którym pójdziemy najeźdźców tłuc... Parę miesięcy później z rówieśnikami szydziłem z dzielnego Wodza i Pana Prezydenta, którzy już 17 września na zaleszczyckim moście pokazali gdzie i jak głęboko mają wolność, niepodległość i suwerenność kraju, a całość własnej skóry cenniejsza dla nich była niż honor Rzeczypospolitej, którą reprezentowali.

Nie mniej jednak, po paru dalszych miesiącach, gdy (nie z własnej woli) znalazłem się za Uralem, z zaciśniętymi kułakami ganiałem za rosyjskimi rówieśnikami, wykrzykującymi za mną – *Полячонок! Полячонок!*¹, co wówczas odbierałem jako coś obraźliwego. Czy był to przejaw patriotyzmu? Czy raczej urażonej miłości własnej? Nieco później podsłuchiwałem rozmowę dorosłych Rosjan, mających za nic Wojsko Polskie, które w ciągu 2 tygodni oddało Niemcom połowę swego kraju. Była to niepodważalna prawda, sam szydziłem z Drugiego Marszałka, ale szyderstwa obcych, i w dodatku wrogów, bolały mnie mocno. Szczególnie zdanie: *Мы теперь в Польше, которой нет больше!*², jakie z przyjemnością powtarzali; jeden z podsłuchiwanym przeze mnie brał udział w inwazji na Polskę 17 września 1939 r. Zaciskałem wtedy pięści, ale nie zrobiłem z nich użytku – z rówieśnikami miałem jakieś szanse, lecz z dorosłymi żadnych. Czy ta stłumiona rozsądkiem moja chęć reakcji na szkalowanie mojej Ojczyzny była przejawem patriotyzmu? Czy tylko tchórzostwa?

Żyjąc w rosyjskim otoczeniu nigdy nie zastanawiałem się nad swoim patriotyzmem – w domu i na ulicy rozmawialiśmy po polsku (rzecz jasna, że z rodakami), wymieniali między sobą nieliczne polskie książki, nie odczuwali żadnego nacisku rusefikacyjnego, uczyłem młodszego brata czytać i pisać po polsku, matki nasze czuwały nad tym, by się modlić (oczywiście, po polsku), bo tylko w Bogu pokładano nadzieję, że kiedyś sprawi nasz powrót do Polski. O tym powrocie myśleliśmy nieustannie i, co charakterystyczne, uważali, że powinniśmy być odwiezieni w swoje rodzinne strony – nie wiem, skąd się wzięło takie przekonanie, ale stale żyliśmy złudą: – „W jesieni na pewno nas stąd zabiorą!, ale gdy jesień mijała, a o powrocie „ani widu, ani słychu” i nastawała mroźna i śnieżna zima, pobożne życzenia nieco się zmieniały: – *Na wiosnę już na pewno będziemy w domu!*, lecz mijała wiosna i dalej nic. Za to na początku lata 1941, 22 czerwca, wybuchła wojna niemiecko-radziecka i o żadnym powrocie nie mogło być mowy, bo linia frontu dość szybko odcięła nas od naszych bliskich. No, o powrocie można byłoby mówić, gdyby Niemcy przekroczyli Ural i parli dalej..., ale to nikomu się nie śniło, ani Niemcom, ani nam.

Linia wojennego frontu nie tylko pozbawiła nas westchnień co do powrotu, ale i odcięła korespondencyjny kontakt z bliskimi, przestały przychodzić od nich pieniądze i paczki; już nie o powrocie, ale o przetrwaniu zaczęliśmy marzyć. Na szczęście polski rząd emigracyjny dostrzegł w tej wojennej sytuacji możliwość przyjscia z pomocą zesłanym na Sybir³ obywatelom polskim. Pakt Sikorski-Majski dawał pewną swobodę Polakom w ZSRR, postulował ustanowienie ambasady polskiej w Kujbyszewie (dokąd z Moskwy ewakuował się rząd radziecki), która miała otoczyć opieką wszystkich polskich zesłańców. Opiekę tę ambasada realizowała poprzez sieć Delegatur w obwodach, gdzie znajdowali się zesłańcy polscy; utworzono tam sierocińce i szkoły polskie. Delegatury z kolei powoływały rejonowych mężów zaufania, którzy utrzymywali łączność między Delegaturą a rodakami w rajonach⁴. Opieka ta była raczej

¹ Polaczek!

² My jesteśmy teraz w Polsce, której już nie ma!

³ Przez Sybir rozumiemy wszystkie miejsca w głębi Rosji, dokąd zsyłano Polaków, zarówno za czasów carskich, jak i radzieckich; jednym z tych miejsc (*ale tylko jednym!*) była Syberia – kraina geograficzna w północnej Azji między Uralem, Leną i Pogórzem Kazachskim.

⁴ Rajon – jednostka administracji w ZSRR, odpowiednik naszego powiatu.

symboliczna, ale dawała nam poczucie pewnej niezależności od władz radzieckich, szczególnie NKWD. W zakresie materialnym opieka ta koncentrowała się na rozprowadzaniu darów, nazywanych przez nas „amerykańskimi”, a płynącymi z całego świata. Były to tandetne koce, wełniane szaliki i kominiarki, części używanej odzieży oraz solidne trzewiki, z podkówkami i blaszkami na noskach, z podeszwami wybitymi gwoździami, ale zupełnie nieprzydatne w sybirskich warunkach zimowych. Wśród darów bywały jeszcze puszki z mlekiem kondensowanym i z konserwami rybnymi. Dary te – zwłaszcza odzież – były przydatne i pomocne, a obuwie służyło w okresach wiosennym i jesiennym; w lecie – wzorem ludzi miejscowych – chodziliśmy boso. Natomiast dary spożywcze stanowiły rarytas spożywany tylko przy odświętnych okazjach; podstawę wyżywienia musiały stanowić miejscowe produkty. Niezależnie od ustaleń dotyczących ulżenia doli polskich zesłańców pakt Sikorski-Majski przewidywał powstanie Armii Polskiej w ZSRR, która miała walczyć z Niemcami ramię w ramię z Armią Czerwoną, a rekrutującą się z polskich zesłańców, pozwalnianych z obozów karnych. Mimo że wspomniany pakt niczego nie wspominał o przemieszczeniu polskich zesłańców poza granice ZSRR, istniała duża pewność – oparta na pobożnym życzeniu – że takie przemieszczenie nastąpi; oczywiście, jak zwykle: *na wiosnę!*

Parę dni przed Bożym Narodzeniem 1941 r. lub nieco po Nowym Roku 1942 dotarła do nas – nie wiem już w jaki sposób: pocztą z delegatury kustanajskiej, czy od kogoś z Polaków w Presnogorkowce, a może od rejonowego męża zaufania – redagowana przez Ksawerego Pruszyńskiego gazeta polska, wydawana przez Ambasadę Polską w Kujbyszewie, pod tytułem „Polska”. Podtytuł jej brzmiał: „TYGODNIK POLAKÓW W ZSRR”, ale wychodziła co 2 tygodnie – tak wskazują daty wydań poszczególnych numerów; podana jest w niej cena jednego numeru: 10 kopiejek, ale nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek w naszym środowisku była mowa o zapłacie za tę gazetę – prawdopodobnie w Ambasadzie i nie tylko tam traktowano ją jako jedną z form darów, o których wyżej wspomniałem.

Dotarcie do nas tej gazety było dla mnie niesamowitym przeżyciem – polskie słowa w gazecie, po ponad półtora roku nie oglądania i nie czytania drukowanego polskiego słowa! Emanowały te pospolite wyrazy jakąś wiarę w sens tej naszej poniewierki i cierpień, zarówno fizycznych jak i duchowych, emanowały przekonanie o wartościach, które gdzieś w głębi nas siedziały, ale były stłamszone przeżyciami i lichym traktowaniem przez obcych, krzepiły i umacniały nadzieje, podnosiły ducha – chyba patriotycznego. Po przebiegnięciu oczami kilku artykułów wyskoczyłem, za przyzwoleniem Mamy, w szalejącej *buran*⁵ do mieszkających w niedalekim naszym sąsiedztwie Kubiaków, aby podzielić się doznaną radością. Dziwne uczucie opanowało mnie – zdało mi się, iż wyrosły mi skrzydła u ramion, czułem się dumny, że jestem Polakiem. Już w tamtym momencie, w wieczorowej porze, kiedy w dziurawych i ciasnych butach, byle jak okryty płaszczkiem, z którego już dawno wyrosłem, biegłem wśród wichru miotającego śniegiem ku zaśnieżonej sąsiedniej ziemiance, skupiając uwagę na nie zagubieniu ścieżki zaniesionej świeżym śniegiem – miałem

⁵ Buran – burza śnieżna: padający gęsty śnieg, przy silnym wietrze porywającym z podłoża wcześniej spadły śnieg, niemal momentalnie zasypujący jakiegokolwiek ślady.

przekonanie, uświadomione znacznie później, że ogarnęła mnie euforia patriotyczna. Zapewne wtedy byłbym gotów do każdej ofiary dla rodaków, a nawet za Polskę oddać życie bez chwili jakiegokolwiek wahania, bez zastanawiania się z jakiego powodu; czułem zupełnie podświadomie, gdzieś w głębokim swoim wnętrzu, że jestem patriotą, że kocham Polskę. Oczywiście, wcale nie zastanawiając się nad tym, co to znaczy: kochać Polskę! W takiejże euforii, może odrobinę mniejszej, pół godziny później – po podzieleniu się nowiną i poinformowaniu, iż właśnie u nas gazeta czytana jest „od deski do deski” przez Mamę i generałową Dąbrowską – wracałem w tenże *buran* do domu, tak jak przedtem śledząc pilnie ślady zaśnieżonej ścieżki, by nie zblądzić, bo zewsząd wyła śniegowa biel.

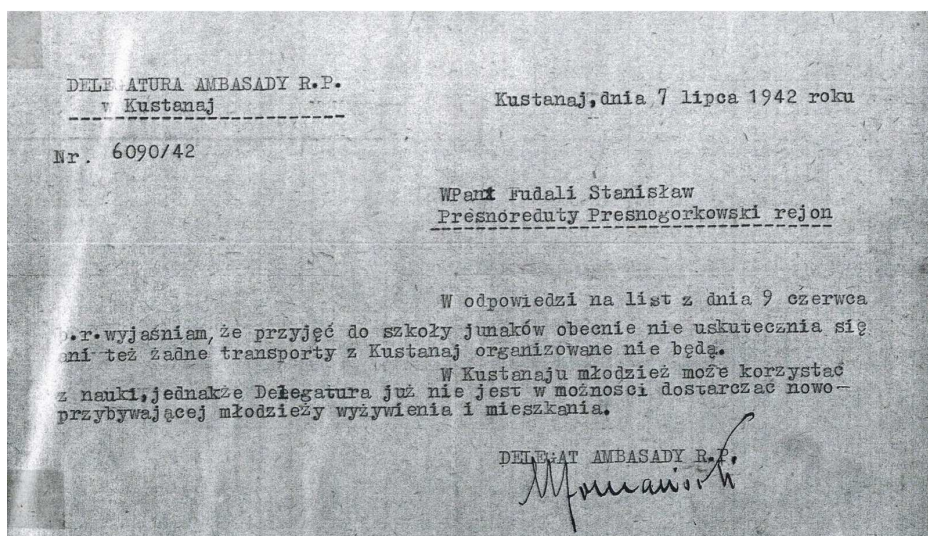
Było to jedyne takie przeżycie w moim życiu, które – po latach – uznałem za euforię patriotyczną; w takim nasileniu nie przyszło mi potem nigdy jej doznać, choć słuchałem później wielu dętych mów – w Kustanaju na odjeździe do Polski, w Polsce stalinowskiej i w PRLu postalinowskim, a także w III RP, głoszonych przez większych lub mniejszych bonzów władzy świeckiej bądź kościelnej. Dzisiaj już nie jestem pewny – zwłaszcza w świetle definicji wg *Słownika* pod red. B. Dunaja – czy to był przejaw prawdziwego patriotyzmu, czy tylko szczenięca euforia.

Parę miesięcy później rozeszła się wieść w naszym rajonie, że w Kustanaju, mieście obwodowym, powstała Szkoła Junaków. Od razu w trójkę (ja i moi dwaj rówieśnicy) postanowiliśmy do tej szkoły wstąpić. Nie pamiętam, czy kierowały nami jakieś pobudki patriotyczne, czy niezbyt przemyślany entuzjazm 13-latków. Przełom lat 1941/42 był bowiem okresem wzmożonego wrzenia wśród zesłanych na Sybir Polaków – nieoczekiwana „amnestia” i związane z nią udogodnienia zachęcały, ba! wręcz zmuszały!, do działania na rzecz nie tylko polepszenia swojego bytu, ale i dodania świetności ojczyźnie niszczonej przez działania wojenne. Warunkiem do tego było pokonanie Niemców, więc przede wszystkim trzeba wzmocnić wojsko. Starsi chłopcy wyjechali w styczniu 1942 r. do Buzułuku⁶, by wstąpić do polskiej armii, a że do wojska byliśmy za młodzi (mieliśmy wtedy po 12 i ½ roku), więc pozostawała tylko Szkoła Junaków. Wymarzyliśmy ją sobie jako odpowiednie dla nas miejsce, aby nie siedzieć beczynnie, gdy inni coś robią, aby przyspieszyć nasz powrót do Ojczyzny, do ukochanego Stanisławowa, z którego nas wywieziono. Pierwszym krokiem w kierunku Szkoły Junaków było dotarcie do Kustanaja, oddalonego o 300 km – postanowiliśmy wyruszyć pieszo, a po drodze korzystać z przygodnych furmanek, ale by uniknąć ewentualnego rozczarowania, za radą mojej matki, wysłałem do Delegatury w Kustanaju list z zapytaniem o warunki przyjęcia do tej szkoły; już widziałem siebie w mundurze kadeta (takim, jak na jakiejś ilustracji dotyczącej Powstania Listopadowego), ale o gwiazdkach na naramiennikach jeszcze nie marzyłem. Po tygodniu otrzymałem telegram (a później list), że do szkoły junaków przyjęć nie ma, gwarantują nauczanie, ale kwatery i stołówki nie mogą zapewnić. Po tej wiadomości mina od razu mi zrzedła, a mundur kadeta zbladł całkowicie; skąd ja 12 ½-letni chłopczyzna wezmę pieniądze na mieszkanie i wikt? Pobiegłem od razu do kumpli mieszkających w drugiej wiosce (8 km), aby podzielić się złą nowiną, ale kumpli nie było; zabrali się jakąś „okazją” do Kustanaja beze mnie. Po miesiącu otrzymałem

⁶ Buzułuk – miasto w obwodzie orenburskim, gdzie mieściło się dowództwo Polskiej Armii w ZSRR, później przeniesione do republik Środkowej Azji

od nich list: szkoła jest powszechna a nie Junaków, przyjęto ich do innej, „załapali się” jeszcze do internatu i stołówki jako jedni z ostatnich, nie zachęcali do przyjazdu. I tak się stało.

Dwa lata później sytuacja była zupełnie inna: pakt Sikorski-Majski został zerwany, Armia Andersa wyewakuowała się do Persji, szkoły polskie rozwiązano, sierocińce włączono do radzieckich „dietdomów”, wszystkim polskim zesłańcom odebrano status „amnestionowanych polskich obywateli”, dary amerykańskie przestały się sączyć (albo gdzieś ginęły po drodze), w Moskwie powstał Związek Patriotów Polskich (ZPP), nad Oką powstała polska I dywizja im. T. Kościuszki i w październiku 1943 pod Lenino wykrwawiła się obficie – a na olbrzymim terytorium ZSRR Polacy z utęsknieniem oczekiwali wiosny, bo skromne zapasy żywności topniały szybko.



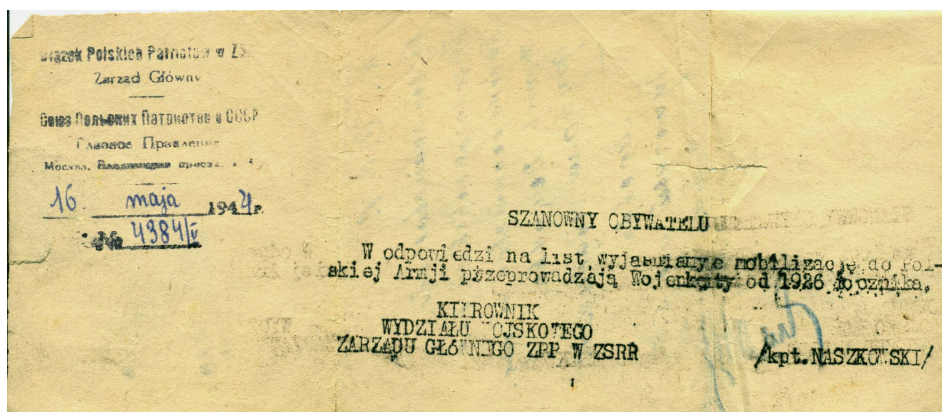
Nasza rodzina też niecierpliwie oczekiwała wiosny, bo nasza Mama, spozostregłszy, że do wiosny nie wystarczy kartofli, ani pośladu, jaki otrzymała za zeszloroczną pracę w kołchozie, wprowadziła ostry reżim żywieniowy: sześć niewielkich kartofli startych na tarce i trzy kopiaste łyżki zdartego na żarnach pośladu ugotowane w 4-litrowej czugunce⁷ bez odrobiny tłuszczu i często bez soli (której nie można było kupić ani wymienić) musiało starczyć na cały dzień dla 3 osób (Mama, ja i młodszy brat). Reżimu tego Mama twardo przestrzegała – chodziliśmy głodni, ale nie doznaliśmy głodu, czyli bolesnego skurczu wnętrzości w procesie samotrąwienia, kiedy do ust pcha się wszystko, co pogryźć się daje. W ostatnich dniach kwietnia 1944 r. rozpoczęto prace polowe w kołchozie, poszliśmy z Mamą do roboty, a brat do яслей⁸ i w ten sposób mieliśmy rozwiązana sprawę wyżywienia, bo pracujących w polu karmiono bołtuszką⁹.

⁷ Czugunka – żeliwny garnek o specjalnym kształcie, w którym gotowano potrawę w piecu chlebowym.

⁸ Ясли – miejsce, w którym dzieci w wieku przedszkolnym znajdowały opiekę i wyżywienie, czyli pewnego rodzaju żłobko-przedszkole.

⁹ Bołtuska – tak nazywano tam zupę przyrządzaną w następujący sposób: odpowiednią ilość razowej mąki rozbełtywano z wodą i wlewano na wrzącą wodę w kotle. Niekiedy (kiedy był!) dodawano do tego symboliczną ilość tłuszczu.

Właśnie wtedy, kiedy Mama wprowadziła ostry reżim żywieniowy, a do wiosny było jeszcze daleko, zaś ja bezustannie byłem głodny, umyśliłem sobie, że na ochotnika wstąpię do Wojska Polskiego. Rozumowałem dość prosto: tutaj głoduję, a w wojsku dadzą jeść, ponadto idąc do wojska, moja porcja jedzenia zostanie dla brata i Mamy, więc będą mniej głodni niż teraz, a mnie w wojsku na froncie kula nie musi trafić. Nie był to na pewno odruch patriotyczny, a raczej odruch rozpaczony lub całkowitej bezsilności, spowodowany okolicznościami bytu. Rozumowanie takie, proste i naiwne, na pewno nie przekonało Mamy, ale zgodziła się, abym do wojska podanie napisał. Więc napisałem i przez miesiąc niecierpliwie czekałem na odpowiedź – oczywiście, pozytywną. Przez następny miesiąc czekałem już mniej niecierpliwie, a pod koniec kwietnia poszedłem do pracy i problemy wyżywienia zeszły na bok. Byłem trochę rozgoryczony, że zlekceważono moje dobre chęci stać się obrońcą ojczyzny, chociaż nie marzyłem, by zostać bohaterem, ale by dostać menażkę wojskowej grochówki¹⁰. Pod koniec maja, gdy na dobre byłem przypisany do 2-lemieszowego pługą i jednej pary wołów (dwie inne pary prowadzali inni) i miałem 3 razy dziennie po 1 litrze bołtuszeki, otrzymałem odpowiedź na moje podanie do wojska:



SZANOWNY OBYWATELU

W odpowiedzi na list wyjaśniamy, że mobilizację do Polskiej Armii przeprowadzają Wojenkomaty od 1926 rocznika.

Kierownik kpt. Naszkowski”

– a ja byłem rocznikiem 1929. Od razu mi uszy spaşowiały, bo dotychczas uważałem, że wszędzie się nadają, do wojska też – a tu taki despekt: nie chcą, abym został bohaterem! Przeboleiałem to raczej niezbyt boleśnie, bo wykonywałem „odpowiedzialną” pracę – byłem oraczem, w wieku 14½ lat – i miałem co zjeść, co prawda – nie do syta, ale wystarczająco, by doczekać lepszych czasów. I doczekałem ich.

¹⁰ Wiele lat później dowiedziałem się, że wojskowa grochówka i kasza, jakie mi pachniały, gdy pisałem podanie o przyjęcie do wojska w 1944 r., były marzeniem tych, co do wojska zostali przyjęci; dostawali te potrawy sporadycznie, a przeważnie karmiono ich zupą z brukwi, która nie dorównywała kołchozowej „bołtuszcze”.

W maju 1946 r., kiedy w wagonach bydłych (na jakie utyskiwaliśmy przed sześcioma laty, gdy wieziono nas na Wschód, widząc w tym poniżenie ludzkiej i polskiej godności) zmierzaliśmy do wschodniej granicy pojałtańskiej Polski coraz częściej przebiegał przeze mnie lekki dreszczyk niepokoju: jak poczuję się wśród „swoich”, ale obcych, bo przecież dobrze wiedzieliśmy, że nie jedziemy do swoich bliskich, którzy teraz nie wiadomo nawet gdzie są. Ogarniały też wątpliwości, czy pojałtańska Polska – bez rodzinnego Stanisławowa, bez opiewanych w wierszach, pieśniach i piosenkach Lwowa i Wilna, bez historycznych Podhajec, Buczacza i Obertyna, bez majestatycznie płynącego Dniestru i szumiących wód Prutu i Czeremoszu, bez Czarnohory i Gorganów – jest naprawdę naszą Ojczyzną? Jak do naszej Ojczyzny, z której przed sześcioma laty wywleczono nas siłą, przymierzać od wieków niemczony Szczecin, Olsztyn czy Wałbrzych, подарowane Polakom przez Stalina?

W Brześciu Litewskim z jakichś powodów transport nasz zatrzymano i odstawiono na boczny tor, daleko od stacji. Staliśmy tam przez tydzień. Przyjeżdżali w tym czasie jacyś panowie z Polski, opowiadali o nowej Polsce, jak jest zniszczona, jak się odbudowuje, jak my, zesłańcy, zostaniemy zaopatrzeni w dary amerykańskie, dostaniemy po pół paczki UNNRA na osobę itp. Jednego dnia pojawili się jacyś elegancko ubrani dwaj panowie z teczkami wypchanymi banknotami polskimi, przedstawili się jako przedstawiciele Banku Polskiego, zapowiadając wymianę radzieckich rubli na polskie złotówki, w relacji 1:1. Ucieszyło nas to, że władze polskie w trosce o ułatwienie nam pierwszych kroków w nowej Ojczyźnie wysyłają do nas za Bug swoich przedstawicieli i zaraz przy zaimprovizowanym stoliku ustawiła się kolejka chętnych do wymiany – każdy przecież miał trochę rubli i chciał mieć aktualne pieniądze po przekroczeniu granicy.

Nareszcie nastąpił długo oczekiwany moment: przyjechała lokomotywa, zaczepiła nasz transport i powlokła ku granicy. Tam kontrola celna i paszportowa, przeglądali nasze dokumenty, szpikulcami kłuli nasze tobołki, szukając nie wiadomo czego, ale do głów i za kołnierz nie zaglądali, a przecież właśnie tam przemycał się to, czego mieliśmy nadmiar: autentyczne *wszy* radzieckie – od miesiąca bowiem nie byliśmy w łaźni, więc to robactwo rozmnażało się prawie bez przeszkód. Po 2-godzinnym postoju pociąg ruszył, potem wjechał na most, a w dole Bug toczył wezbrane wody i mimowolnie porównywałem go ze Zbruczem, przekraczanym przed sześcioma laty – wąską strugą, zarośniętą sitowiem. Po kilkunastu minutach byliśmy już na polskim brzegu, a po kwadransie pociąg stanął na stacji, na której widniał napis polskimi literami: TERESPOL. Nie było czasu na uniesienia, że oto już jesteśmy w Polsce, bo pojawiła się grupka ludzi z biało-czerwonymi flagami, zapewne komitet powitalny, kierownictwo transportu wysiadło i witało się z tym komitetem, potem jakieś mowy etc. W tym czasie drobni handlarze obścapiли nasze wagony oferując jakieś wspaniałości do jedzenia. U jednego chłopca zauważyłem w koszyku niewielką podłużną białą bułkę i zapragnąłem zjeść jej kawałek, więc zapytałem o cenę: – *Trzy złote, albo jeden rubel!* Wygrzebałem z kieszeni 3 złote (bo rubli już nie miałem), rozłamałem bułkę na 3 części i częstując Mamę i brata opowiedziałem, jak cynicznie na wymianie pieniędzy zostaliśmy oszukani przez zwykłych cwaniaków, podszywających się za przedstawicieli banku. Byłem bardzo rozczarowany tym faktem, może nie tyle utratą $\frac{2}{3}$ posiadanych pieniędzy, ile utratą wiary w nieskazitelność rodaków. Przez 6 lat

zesłania, na pewno pod wpływem tęsknoty za bliskimi i czytanej literatury, ukształtował mi się wizerunek uczciwego i prawdomównego Polaka, pracowitego i dzielnego, chociaż w zesłańczej społeczności nie tylko takie spotkałem sylwetki. Do Polaka lub Polki, choćby nieznanego, miałem zawsze pełne zaufanie, do Rosjanina lub Kazacha, do Czecheńca lub Niemca (bo tacy też tam byli) raczej byłem nieufny. – *A tu masz! Polacy, a tak dotkliwie oszukali! I to obdartych, zawszonych biedaków!* Byłem oburzony i rozczarowany. Gdy pociąg ruszał w dalszą drogę coś w pobliżu załomotało, na co nie zwróciłem uwagi, zając się kawałkiem dawno nie widzianej białej bułki.

W Białej Podlaskiej doznałem drugiego anty-patriotycznego przeżycia. Tam nie było uroczystego powitania z flagami państwowymi, ale za to, zaledwie pociąg zatrzymał się na stacji, grupa miejscowych młodzieńców przygotowanymi uprzednio kamieniami i kawałkami cegieł zaczęła obrzucać wagon toczący się bezpośrednio za naszym. Okazało się, że w wagonie tym jechały rodziny żydowskie – raczej nie byli to zesłańcy, jak my (bo w latach 1940/41 Żydów na Sybir nie wywożono!), lecz uciekinierzy przed Niemcami. Żydzi zamknęli drzwi i nie pokazywali się, a z transportu na peron wyszło parę osób, usiłovali przemówić do rozjuszonych młodzieńców, wreszcie pojawiło się 3 milicjantów i 2 SOK-istów, zrobił się mały tumult, kamienna kanonada przycichła i pociąg po krótkim postoju odjechał. Nie wychodziłem z wagonu, aby przypadkiem nie dostać kamieniem w głowę, ale zacząłem się zastanawiać nad tym, czy do właściwej Polski przyjechalibyśmy, bo ta – zaprezentowana w Białej Podlaskiej – nie była tą przeze mnie wyidealizowaną. Jeżeli wtedy jakieś porywy patriotyczne we mnie tkwiły, to uwiędły przed ich rozwinięciem się.

*

Nie wiem, skąd się w człowieku bierze patriotyzm. Być może wysysa się go z mlekiem matki, ale w takim razie niemowlaki karmione (z różnych przyczyn) butelką, powinny być całkowicie a-patriotyczne. Może postawa rodziców i nauczycieli, a także postawa otoczenia na to wpływa? A może w genotypie ludzkim tkwi, jeszcze nie wykryty, gen patriotyzmu?

Człowiek normalnie żyjący w swojej ojczyźnie rzadko zastanawia się nad tym, czy jest patriotą, chociaż jakiś patriotyzm w nim drzemie – chyba że jest zdeklarowanym kosmopolitą. Gdy ojczyzna jest w potrzebie (nie koniecznie militarnej!), patriotyzm przerywa swoją drzemkę i popycha człowieka do czynu: do usuwania skutków klęski żywiołowej, wspierania pożytecznych inicjatyw społecznych, protestowania przeciwko niewydarzonym pomysłom władz samorządowych etc. Nawet gdy ojczyzna nie jest w pilnej potrzebie, a tylko dla jej prawidłowego funkcjonowania, patriotyzm wymusza od nas rzetelne wypełnianie swoich obywatelskich obowiązków, nawet takich banalnych jak płacenie podatków, opłacanie przejazdów miejskimi tramwajami, przestrzeganie przepisów współżycia społecznego etc.

Natomiast człowiek mieszkający w obcym kraju, i nie pozujący na kosmopolitę, czuje swój patriotyzm niemal na każdym kroku. Odczuwa brak polskiej mowy na ulicy, gdy zaś przypadkowo spotka rodaka, traktuje go niemal jak członka rodziny, a także biegnie w drugi koniec miasta, spiesząc na występ polskiego zespołu, wcale nie najlepszego, aby tylko usłyszeć żywą polską mo-

wę. Więcej, pamięta daty świąt narodowych – trzeciego maja i jedenastego listopada, mimo że miejscowe media w obcym kraju wcale o nich nie głoszą – i stara się je uświetnić, na miarę swoich możliwości. Krótko mówiąc: „czuje się bardziej patriotą” niż rodak na stałe mieszkający w Kraju. Czyżby gleba ojczyzna nie sprzyjała uniesieniom patriotycznym?

*

Stanisław Fudali

Wspomnienie zesłanczej Wigilii

Siedemdziesiąt lat minęło niedawno,
gdy ze łzą w oku i uciskiem w gardle,
oczekiwałem Wigilii w dalekim Kazachstanie
– jako zesłaniec.

Na stole wigilijnym tylko *botuszka*
była z pośladu zdartego na żarnach,
i całe kartofle w mundurach
jako świąteczny przysmak nie lada ...

Choinki w izbie nie było,
bo wokół wioski bezkresny step ...
Opłatek odległym był tylko wspomnieniem,
jak niegdyś dawno śniony sen ...

Ale życzenia były,
i były łzy:
Byśmy wrócili do swoich!
A śnieg sypał i *bu-ran* wył,
i mróz tężał na dworze ...

Wigilijne życzenia się spełniły
i oto jestem pośród Was ...
Łamiemy się opłatkiem, choinka w pobliżu,
barszcz z uszkami na stole,
i karp ...